

Jarosław Krzyżak
Wspomnienia lekarza wojskowego

II. Kara za uratowanie życia !

Interesujące leczenie hiperbarią tlenową w Boże Narodzenie 1986 r.

Po zakończeniu stażu podyplomowego jesienią 1979 r. moja służba lekarza wojskowego związana była z pracą z nurkami. Najpierw służyłem jako lekarz fizjolog na ORP „Lech” w 34 Dywizjonie Okrętów Ratowniczych Marynarki Wojennej, a od jesieni 1982 r. pełniłem obowiązki starszego wykładowcy fizjopatologii nurkowania w Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego (OSNiP WP) w Gdyni.

Z racji pełnienia obowiązków oraz pracy w bardzo interesującej i rzadkiej dziedzinie medycyny dogłębnie studiowałem wszystko co było związane z medycyną podwodną. Od lata 1983 r. rozpocząłem leczenie hiperbarią chorych nurków wojskowych oraz z klubów płetwonurków PTTK i LOK. Od tamtego lata komory ciśnieniowe OSNiP WP stały się głównym miejscem leczenia chorych nurków oraz osób zatrutych tlenkiem węgla z terenu niemal całej Polski. Działalność kolegów lekarzy z OSNiP WP oraz moja były dobrze znane w środowisku lekarzy Gdyni, Trójmiasta i terenów związanych z nurkowaniem rekreacyjnym i zawodowym. Z tego względu o różnych porach dnia i roku często byliśmy angażowani do leczenia hiperbarią bardzo ciężkich przypadków.

Późnym wieczorem 26 grudnia 1986 r. leniwy świąteczny nastrój przerwał mi telefon od kolegi, który pełnił ostry dyżur w izbie przyjęć Szpitala Miejskiego w Gdyni. Poinformował mnie, że właśnie do szpitala przywieziono w bardzo ciężkim stanie młodą, 27 letnią kobietę zatrutą tlenkiem węgla. Kobieta była zaintubowana, na oddechu wspomaganym, z objawami obrzęku mózgu i niewydolności krążenia. Wymagała natychmiastowego leczenia hiperbarią tlenową. Tylko ten sposób leczenia dawał szansę uratowania gasnącego młodego życia. Poleciałem koledze, aby chorą natychmiast odwieźć karetką reanimacyjną do OSNiP WP. Jednocześnie w trybie alarmowym wezwałem zespół pracowników medycznych i technicznych, który miał przeprowadzić leczenie chorej w komorze ciśnieniowej.

Gdy po kilku minutach przybyłem do jednostki, karetka z chorą była już na miejscu. Przy bramie czekał na mnie oficer dyżurny kapitan Świątelski, który poinformował mnie, że Dowódca jednostki nie zezwala na leczenie chorej, a ponadto czeka przy telefonie na rozmowę ze mną. Gdy podniosłem słuchawkę i zameldowałem się usłyszałem wrzask Dowódcy, komandora Kurzycy: „Kapitanie Krzyżak ! Kategorycznie zabraniam leczyć prywatnych pacjentów w komorze ciśnieniowej jednostki”. Na próbę wyjaśnienia dramaturgii sytuacji nie dopuścił mnie do głosu tylko jeszcze raz wykrzyczał do słuchawki: „Kapitanie Krzyżak ! Powtarzam ! Kategorycznie zabraniam leczyć prywatnych pacjentów w komorze ciśnieniowej jednostki”. Na taki rozkaz odpowiedziałem tylko „Tak jest !” i odłożyłem słuchawkę.

Sytuacja stała się bardzo dramatyczna. Na niewykonanie tego rozkazu nie pozwoliłby mi oficer dyżurny. Karetka „R” stała pod bramą jednostki z umierającą młodą kobietą. Trzeba było podjąć szybką decyzję jak rozwiązać tę trudną sytuację. Na szczęście komora ciśnieniowa OSNiP WP nie była jedyną w Marynarce Wojennej. W podobne komory wyposażone były okręty ratownicze jednostki, w której służyłem przed kilkoma laty. Znano mnie tam doskonale i często korzystałem z pomocy kolegów z ORP „Lech” lub ORP „Piast”. Natychmiast zatelefonowałem do oficera dyżurnego ORP „Lech”. Było to około godziny 22.00. Poprosiłem o uruchomienie komory ciśnieniowej dla leczenia umierającej chorej. Skłamałem, że nie mogę tego zrobić w OSNiP WP ponieważ była tam niesprawna komora. Oficer dyżurny odpowiedział, że nie może tego zrobić ponieważ okręt o godzinie 24.00 wychodzi w morze do prac podwodnych przy platformie wiertniczej „Petrobaltic”. Na pytanie o komorę na ORP „Piast” usłyszałem, że drugi okręt przebywa w stoczni na remoncie i komora jest tam niesprawna.

Sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, a czas szybko uciekał. Natychmiast zatelefonowałem do oficera operacyjnego Dowództwa Marynarki Wojennej, który był jedynym człowiekiem mogącym zmienić godzinę wyjścia okrętu w morze. Na szczęście służbę pełnił komandor Joński, doskonały oficer ratownictwa morskiego, który znał moje zaangażowanie w medycynę hiperbaryczną i częste leczenie chorych nurków z całej Polski. Po przedstawieniu całej sytuacji zapytał tylko ile potrzebuję czasu na terapię w komorze i przesunął wyjście okrętu w morze na godzinę 6.00 dnia następnego. Ostrzegł mnie tylko, że jeżeli zatrzymanie okrętu okaże się bezzasadne, to będę pociągnięty do odpowiedzialności służbowej.

Gdy decyzja o zmianie terminu wyjścia w morze „ORP Lech” docierała do dowódcy, pędziłem z chorą karetką do oddalonego o kilka kilometrów Portu Wojennego, gdzie był zacumowany okręt. Około godziny 22.20 razem z chorą i podoficerem sanitarnym bosmanem Zbigniewem Wichnowskim zostałem szybko sprężony w komorze do ciśnienia 2,8 ATA (równoważne 18 m głębokości). Natychmiast podłączyliśmy chorej tlen do rurki intubacyjnej i wspomagaliśmy jej oddychanie 100% tlenem. Po około godzinie chorej powrócił własny oddech, a po następnej odzyskała przytomność. W międzyczasie prowadziliśmy intensywną farmakoterapię. Stan chorej szybko poprawiał się z minuty na minutę. W końcu usiadła na pryczy i zaczęła z nami prowadzić rozmowę. Była zupełnie nie zorientowana co się stało i gdzie się znajdowała. Najbardziej dziwiło ją, że jest leczona w komorze ciśnieniowej. Po blisko 5 godzinach terapii tlenem hiperbarycznym, około godziny 3.10 nad ranem chora opuściła komorę o własnych siłach i w dobrym stanie. Następnie odwieźliśmy chorą do Szpitala Miejskiego w Gdyni na dalszą obserwację, a sami szybko udaliśmy się do domów przespać się chociaż z 2 godziny.

Dla niejednego lekarza, który nigdy nie leczył hiperbarią tlenową ciężkich zatruc tlenkiem węgla czy przypadków mózgowych zatorów gazowych trudno wyobrazić sobie sytuację tak szybkiego powrotu do zdrowia z sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

O godzinie 7.30 przekraczałem bramę swojej jednostki. Czekał na mnie oficer dyżurny, który powiadomił mnie, że o godzinie 8.00 „na granatowo” mam zameldować się ze swoim przełożonym u dowódcy do raportu karnego. Zdziwiło mnie to bardzo. W ambulatorium OSNiP WP wszyscy już znali przebieg ostatniej nocy. Panowało napięcie i sensacja wisiała w powietrzu. Miała się stać rzecz bezprecedensowa. Lekarz miał zostać ukarany dyscyplinarnie za uratowanie życia człowiekowi !

Razem ze swoim przełożonym kmdr ppor. lek. med. Januszem Toczkiem ubraliśmy się „na granatowo” (na terenie jednostki obowiązywał ubiór polowy) i o wyznaczonej godzinie w gabinecie Dowódcy komandora Kurzycy, zostałem przedstawiony do raportu karnego. Został mi postawiony zarzut nie wykonania rozkazu zakazującego leczenia w komorze ciśnieniowej jednostki oraz zarzut leczenia prywatnego pacjenta na terenie jednostki wojskowej, pacjenta który nie był uprawniony do leczenia przez wojskową służbę zdrowia. Moje tłumaczenie, że pacjentkę nie leczyłem na terenie OSNiP WP tylko w innej jednostce rozjuszyło tylko Dowódcę. Zaczął wypominać mi inne przypadki cywilnych nurków – moich prywatnych pacjentów, których leczyłem samowolnie obciążając Marynarkę Wojenną kosztami leczenia. Oświadczył, że moja samowola i niesubordynacja przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice i aby mnie zdyscyplinować postanowił ukarać mnie dyscyplinarnie. Doktor Toczek próbował bronić mnie i wyjaśnić wyjątkowość sytuacji i przypadków kierowanych do OSNiP WP, ale na nic się to zdało. Wszelka dyskusja z Dowódcą mijała się z celem.

Dowódca wstał zza biurka i rozpoczął wygłaszać formułę kończącą się nałożeniem kary, gdy w tym momencie zadzwonił telefon. Po drugiej stronie słuchawki był ktoś, kto wprowadził dowódcę w zdumienie i stan służbowego napięcia jak przed wyższym przełożonym. Dowódca w skupieniu słuchał monologu z drugiego końca linii telefonicznej przerywając go tylko krótkimi „Tak” i „Tak jest !” niemal trzaskając przy tym obcasami. Gdy skończył rozmowę powiedział tylko „Możecie odejść !”

Zdumieni i zaskoczeni nagłą zmianą sytuacji wróciliśmy do naszego ambulatorium. Koledzy w napięciu czekali na nasz powrót i finał rozprawy z Dowódcą. Opowiedzieliśmy im całe zdarzenie i snuliśmy domysły kto spowodował nagłą zmianę decyzji Dowódcy. Po godzinie sprawa się wyjaśniła, gdy do jednostki dotarła rodzina uratowanej przez nas kobiety. Przyszedł mąż i ciotka podziękować nam za poświęcenie i uratowanie jej życia. Dowiedzieliśmy się, że Jola (tak miała na imię uratowana) była córką pułkownika z Głównej Inspekcji Sił Zbrojnych MON w Warszawie. To właśnie Pan Pułkownik zatelefonował do Dowódcy z podziękowaniami za uratowanie życia jego córce oraz gratulował postawy i bezinteresownego zaangażowania lekarzy i personelu OSNiP WP sugerując wyróżnienie osób biorących udział w całej akcji. W tym momencie zrozumieliśmy całą obłudę i hipokryzję wojskową. Do ukarania by doszło, gdyby nie zatelefonował Pan Pułkownik oraz gdyby uratowana kobieta okazała się na przykład córką piekarza, a nie pułkownika.

W południe zjawił się w Ambulatorium redaktor tygodnika Marynarki Wojennej „Bandera”. W Dowództwie Marynarki Wojennej głośno było już o naszym „świętecznym leczeniu”. Ponieważ nasza „akcja” wzbudziła u wszystkich (poza komandorem Kurzycą) duże uznanie postanowiono ją nagłośnić. Redaktor dostał polecenie od admirała Ludwika Janczyszyna, aby przeprowadzić ze mną wywiad i opisać dokładnie całe zdarzenie.

Tego roku Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego zorganizował plebiscyt na żołnierza - „Bohatera Roku”. W czasopiśmie wojskowych opisywane były różne godne zachowania żołnierzy, akcje ratowania życia czy mienia, akcje pomocy wojska dla cywilów. Nasze leczenie ciężko zatrutej tlenkiem węgla kobiety miało zostać opublikowane i wziąć udział w tym plebiscycie.

Kiedy dokładnie opowiedziałem Redaktorowi zdarzenia ostatniej nocy sprawy znowu się skomplikowały. Redaktor nie chciał napisać, że „durny” Dowódca nie zezwolił na leczenie, a następnie miał zamiar ukarać „bohaterów” za uratowanie życia człowiekowi. Artykuł miał pokazać jak wspaniałe jest wojsko i postawy żołnierzy niosących bezinteresowną pomoc potrzebującym cywilom. Niedopuszczalne było opisywanie głupoty wojskowej. Redaktor chciał wywiązać się ze swojego zadania i zaproponował zmianę i przemilczenie bulwersujących faktów. Nie chciałem się na to zgodzić. Odpowiedziałem, że albo będzie opisana cała prawda, albo nie będzie żadnego wywiadu. Redaktor z niczym opuścił jednostkę.

Po niespełna godzinie otrzymałem telefon, że natychmiast mam zameldować się u Zastępcy Dowódcy Marynarki Wojennej do spraw Politycznych, komandora Raczkiewicza. Udałem się tam niezwłocznie. Przez kilku wysokich oficerów byłem przekonywany, że warto opisać w prasie całą chwalebłą akcję dla chwały Marynarki Wojennej, przemilczając i zmieniając fakty dla potrzeb propagandowych. Nie ugiąłem się i nie zmieniłem zdania.

Wywiadu nie było.

Gdynia, dnia 13 listopada 2001 r.